

Pismo

MAGAZYN OPINII

GRUDZIEŃ 2020 | NR 12 (36)

TEMAT PISMA

Jak się troszczymy:
o bezdomnych,
o starszych,
o siebie nawzajem

LITERATURA

Sawicka
Zajączkowska

PORTRET

Walcz jak
Jane Fonda

Joe Biden:
człowiek środka

CENA: 15,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

1 2 >



9 772544 502005



MAGAZYN OPINII

Pismo

GRUDZIEŃ 2020 | NR 12 (36)





O Darczyńcach

**PIOTR
NESTEROWICZ**
(ur. 1971),
twórca, pierwszy
redaktor naczelny
i wydawca „Pisma.
Magazynu opinii”
oraz producent
„Śledztwa Pisma”.
Prezes Zarządu
Fundacji „Pismo”.

W grudniu 2017 roku pisałem pierwsze słowo wstępne, które ukazało się w tym jakże nietypowym dla treści redakcyjnych miejscu. O sztuce gotowania zupy. Wówczas rzeczywiście wrzało w kotle, z którego miał wyłonić się premierowy numer „Pisma”. Od tamtych dni upłynęły już trzy lata, a to dobra okazja, by przypomnieć, czym jest „Pismo”. A przede wszystkim dzięki komu powstało, działa i może się rozwijać.

W „Piśmie” wierzymy w sens działania z misją. W pracę na rzecz czytelników i w siłę słowa pisanego (i opowiadanego), które ma moc, by kształtować postawy, uwrażliwiać, zachęcać do refleksji i dyskusji. Wciąż widzimy miejsce dla rzetelnego dziennikarstwa i dokładamy starań, by sprostać najwyższym wymogom wiarygodności i standardom merytorycznym. Dlatego przykładamy szczególną wagę do weryfikacji informacji, które pojawiają się na naszych łamach. Nie epatujemy sensacją, jesteśmy niepartijni i nie angażujemy się w małostkowe spory polityczne. Co jednak nie oznacza, że nie walczymy o wartości, które naszym zdaniem są najważniejsze w życiu publicznym: o szczerłość, przyzwoitość, szacunek.

Właśnie dlatego, by „Pismo” nie ulegało zewnętrznym wpływom politycznym ani nie przedkładało efektów finansowych ponad wyznawane zasady, nie działamy dla zysku. Naszym wydawcą jest Fundacja „Pismo”, a całe przedsięwzięcie realizujemy *pro publico bono*. Utrzymujemy się w dużej mierze dzięki naszym czytelnikom, którzy prenumerują i regularnie kupują miesięcznik. Ważna jest dla nas również pomoc partnerów – firm i instytucji, z którymi współpracujemy.

Dziękujemy Wam, że jesteście z nami, szczególnie w tym jakże trudnym roku.

Jednakże „Pismo” nigdy by nie powstało, nie przetrwałoby tych trzech lat ani nie mogłoby się rozwijać, gdyby nie nasi darczyńcy.

Adam, Gosia, Jakub, Jon, Olga, Piotr i Witek zaufali nam w czasie, gdy „Pismo” mieściło się na jednej kartce papieru. W kolejnych latach dołączyli do nich Aleksy, Kazik, Krzysztof i Paweł. Ewa, Marcin, Piotr i Tomasz wspierają nas nie tylko finansowo, ale również wiedzą i doświadczeniem jako członkowie Rady Fundacji. Podobnie jak Agnieszka, która jest naszą najgorętszą promotorką i nieustannie poleca „Pismo” przyjaciółom, a to zawsze jest najtrudniejsze. Pan Jacek opowiadał mi, że chciałby czytać po polsku takie teksty, jakie ukazują się w najlepszych niemieckich dziennikach. Dzięki pani Annie mogliśmy publikować nagradzane reportaże społeczne. Bez wsparcia Sebastiana nie powstałby pierwszy polski reporterski serial podcastowy. Nieoceniona była pomoc Jarosława, a „Śledztwo Pisma” wiele zawdzięcza Monice, darczyńczyni, która od samego początku istnienia „Pisma” wspiera wiele naszych działań. Jacek jest nie tylko jednym z naszych największych darczyńców finansowych i rzeczowych, ale również angażował się w tworzenie treści, które publikujemy. Dzięki pomocy Macieja udało nam się przetrwać trudny okres pierwszej fali pandemii koronawirusa. Adam, Gosia, Jan, Małgorzata, Mariusz i Witold wspierają nas za pomocą firm, w które są zaangażowani, nie oczekując w zamian właściwie nic ponad to, byśmy dochowali wierności pryncypiom, dla których „Pismo” powstało. Podobnie Aleksandra, Irek, Joanna i Olga, którzy okazali nam ważną pomoc poprzez organizacje, w których działają.

Dla dobra wspólnego. Dziękujemy.

Jeżeli chciałbyś/chciałabyś dołączyć do grona Darczyńców Pisma, napisz proszę do mnie na adres piotr.nesterowicz@magazynpismo.pl. Albo wesprzyj nas, wpłacając środki na konto Fundacji „Pismo” o numerze 35 1140 2004 0000 3802 7702 6297, prowadzone w mBanku, z adnotacją „Darowizna”.

MAGAZYN OPINII Pismo.

GRUDZIEŃ 2020

PROZA

Wszystkie dzieci, nawet złe | 6
ZOFIA SAWICKA

Ostatnia wigilia | 94
OLGA BRZEZIŃSKA

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w grudniu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 79
SKUBAS

POEZJA

grudzień. ogród | 45
URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

OBRAZ

CYKL DOBRO WSPÓLNE **Fundusz Feministyczny** | 4
MARTA RYBICKA

FOTOREPORTAŻ **Seniorzy** | 40
KATARZYNA PIECHOWICZ

KOMIKS **Legandy późnego kapitalizmu** | 66
TOMEK KONTNY, AGATA WAWRYNIUK

OKŁADKA **Troską otulenie**
JOANNA STRUTYŃSKA

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Życzenia**
MARCIN WICHA

96 | PRZYPISY **O obowiązku troski**
ZUZANNA KOWALCZYK

REPORTAŻ

18 | **Co znaczy Szast**
FILIP SPRINGER o tym, że czasem dla odrodzenia niezbędna jest katastrofa

46 | **Chcę do domu**
MICHAŁ SZCZĘCH o fundacji, która wykorzystuje ludzi w kryzysie

80 | **Bogactwo i piękno**
EMILIA KLIMASARA: więźniowie na Madagaskarze wciąż czekają na sprawiedliwość

PORTRET

12 | **Jane Fonda: Rzadko się boję**
HADLEY FREEMAN o aktorce i aktywistce, która nie zamierza zwalniać tempa

24 | **Joe Biden. Człowiek środka**
EVAN OSNOS opisuje drogę polityka, w którym świat pokłada nadzieję na zmianę

STUDIUM

58 | **Niech zazieleni się wodór**
JUSTYNA PISZCZATOWSKA sprawdza, czy wodór będzie paliwem przyszłości

ESEJ IDEE

74 | **Wspólnota troski**
TOMASZ STAWISZYŃSKI o obowiązku otoczenia opieką potrzebujących

86 | **Kosmopolici wszystkich krajów: gońcie się!**
MICHAŁ P. MARKOWSKI ogłasza koniec kosmopolityzmu

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska,
Sekretarzka Redakcji: Katarzyna Kazimierowska, Redakcja: Marcin Czajkowski, Zuzanna Kowalczyk, Zofia Sawicka,
Felieton: Marcin Wicha, Idee: Karolina Lewestam, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Srutowa,
Szfefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz,
Szfefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszyńska, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Natalia Czarkowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



MARCIN WICHA
(ur. 1972), grafik,
projektuje okładki,
plakaty, znaki
graficzne. Pisarz.
Nagrodzony
Paszportem
„Polityki”
2017 w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem.*

Życzenia

Klimat robi się cieplejszy, tylko coraz trudniej przetrwać zimę. Jeszcze kilka miesięcy. Potem trzeba będzie policzyć straty w ludziach. Na wiosnę zobaczymy, kogo brakuje. Kto się nieopatrznie odłączył i zgubił w ciemności. Kto nie odpowie, gdy wyczytają jego nazwisko.

Ale i tak zaczną się dłuższe dni. Najpierw blade jak mrożona pizza. Potem bardziej rumiane. Przyjdzie wiosna, wszystko się ułoży. W globalnej polityce nastąpi odprężenie. Dziura ozonowa zarośnie. Firmy farmaceutyczne wymyślą lekarstwo na zarazę.

To będzie jak zakończenie *Aniołów w Ameryce*: Central Park, zieleń. Bohaterowie spojrzą po sobie, a potem każdy pójdzie w swoją w stronę. Strachy znikną. Nie na zawsze, ale przynajmniej na jakiś czas.

W POŁOWIE POPRZEDNIEJ KADENCJI staliśmy w nocy pod Senatem. Ktoś z przodu wpaść na pomysł, żeby skandować listę senatorów i krzyczeć do każdego z osobna, że jeszcze nie jest za późno. Kompletnie już nie pamiętam, na co mianowicie nie było za późno.

Chłopak przed nami wygooglował nazwiska i zdjęcia. Wyciągnął w górę smartfona, żebyśmy widzieli twarze. Przy kolejnym portrecie usłyszałem chichot córki.

Politycy na zdjęciach wyglądali jak klony. Dziesiątki egzemplarzy z fabryki facetów w garniturach. Wszyscy w tym samym wieku. Jakby straż graniczna przejęła nielegalny transport północnokoreańskich krasnali ogrodowych. Wszystkich nas uderzyła jedna myśl. Coś tu się nie zgadza. Polska tak nie wygląda. Nie aż tak.

Potem były następne wybory. I następne. I jeszcze następne. Potem pandemia. Jednak pamiętam ten śmiech.

Już go wcześniej słyszałem. W 1987, w 1988, może jeszcze w 1989 roku. Ludzie tak się śmieją, gdy upada dyktatura. Tak się śmieją ludzie, którzy już nie mają siły się bać. Tyle razy przedawkowali strach i nudę, że organizm nabrał odporności.

Tak się śmialiśmy z sekretarzy, bohaterów podziemia, biskupów. Tak się śmialiśmy z autorytetów, purpuratów, milicjantów i redaktorów. Ponieważ wtedy to my byliśmy młodzi. Młodzi, ale wystarczająco bystrzy, żeby dostrzec ich bezsilność (maskowaną gadulstwem i nadęciem).

Bardzo szybko starli nam z twarzy uśmiechy. Może sami to sobie zrobiliśmy. Latami gryźliśmy się w język. Zagryzaliśmy policzki, żeby się nie rozeźmiać. Chciałbym jeszcze kiedyś usłyszeć ten śmiech.

ZANIM PRZYJDZIE WIOSNA, przeżyjemy gorsze lęki. Wiosną żadne z tych strasydeł nie zrobi już na nas wrażenia. Nie potraktujemy poważnie żadnej kukły w garniturze, w stroju liturgicznym czy pseudowojskowym wdzianku (z dyskretnie naszytą flagą narodową). Ani tej marionetki ulepionej z worów pod oczami. Ani tamtej – w kształcie monstrualnego podbródka, który wyrwał się na swobodę i pochłonął ludzkie rysy.

Władza, kiedy traci władzę, staje się żałosna. Jeszcze wczoraj każdy z tych facetów był jak krążownik z trzema kominami. Uzbrojony w siebie. Opancerzony sobą. Trzeba było widzieć, jak ostrożnie manewrowali cielskimi! Jak ustawiali profile pod odpowiednim kątem. Jak popychali potężne brzuchy i wlekli swoje imperialne zady. A teraz – na oczach publiczności – stawiają stopę na skórcie od banana. Tej wiosny nic już nie uciszy wielkiego śmiechu.

CHYBA ŻE BĘDZIE INACZEJ. Już tyle razy kończyło się na niczym. Zobaczymy. Na razie jest grudzień. To nie jest dobry czas na snucie planów. To nie jest miesiąc na prognozy, domysły i programy. Grudzień to pora życzeń.

Szcześnie nowej pory roku. Szcześniejszego świata.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca w **grudniu**

Międzynarodowy Festiwal Filmowy WATCH DOCS

Jubileuszowa, 20. edycja festiwalu WATCH DOCS, poświęconego tematowi praw człowieka w kinie, rusza 4 grudnia, oczywiście online. Jak co roku na widzów czekają najlepsze filmy dokumentalne z różnych części świata. Być może są one szczególnie potrzebne i ważne teraz, gdy prawa człowieka w Polsce nie mają się najlepiej. Po wydarzeniu najciekawsze dzieła z historii festiwalu w kolekcji *20 lat WATCH DOCS* zostaną bezpłatnie udostępnione w sieci. Festiwal potrwa do 13 grudnia.

WIĘCEJ: watchdocs.pl



Karaimska Mapa Muzyczna

Karolina Cicha – kompozytorka, multi-instrumentalistka i specjalistka w odkrywaniu bogactwa kultur mniejszości – stworzyła w ramach projektu artystycznego *Karolina Cicha & Spółka* muzyczną mapę najmniejszej mniejszości w Polsce, czyli Karaimów. To pierwszy pełny album muzyczny z tradycyjną muzyką karaimską na świecie – na razie dostępny w wersji wirtualnej, a w przyszłym roku również na płycie. Projekt w twórczy sposób integruje karaimską, orientalną tradycję ludową ze współczesną wrażliwością muzyczną.

WIĘCEJ: mapamuzyczna.karaimi.org



Post Production Forum

To wydarzenie w całości poświęcone tematowi postprodukcji filmowej, skierowane do wszystkich twórców branży audiowizualnej oraz osób, które interesuje proces powstawania filmu. W programie forum, które potrwa od 4 do 6 grudnia, m.in. panele i debaty poświęcone roli sztucznej inteligencji w kinie, sztuce opowiadania historii oraz efektom specjalnym.

WIĘCEJ: postforum.pl

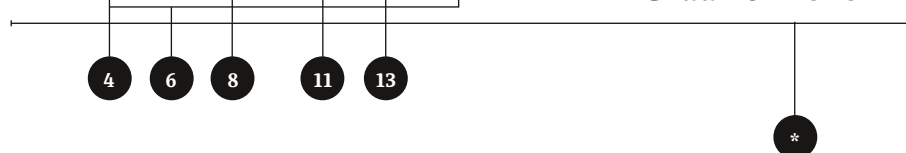


Festiwal Gier Zaangażowanych Społecznie

Między 8 a 11 grudnia w sieci weźmiemy udział w Games for Impact – Festiwalu Gier Zaangażowanych Społecznie. To wydarzenie poświęcone jasnej stronie gier wideo – a zatem grom wspomagającym procesy edukacyjne i terapeutyczne, angażującym graczy w dyskusje o zdrowiu psychicznym, nierównościach, konsumpcjonizmie, ekologii, migracjach, ideologiach, *fake newsach*. Festiwal organizuje FilMOTEKA Narodowa – Instytut Audiowizualny oraz Fundacja Indie Games Polska we współpracy z nowojorskim festiwalem Games for Change.

WIĘCEJ: fina.gov.pl

Grudzień 2020



Wystawa Rzeźba w poszukiwaniu miejsca w Zachęcie

27 listopada w Zachęcie otwarto wystawę poświęconą przekrojowemu ujęciu rzeźby współczesnej. *Rzeźba w poszukiwaniu miejsca* to opowieść o tożsamości rzeźby polskiej w ostatnich sześćdziesięciu latach, poprowadzona przez pryzmat zjawisk i postaw twórczych najważniejszych dla rozwoju tego medium. Wystawa potrwa do 21 lutego, a zobaczyć można na niej prace takich twórców, jak Xawery Dunikowski, Alina Szapocznikow, Katarzyna Kozyra, Magdalena Abakanowicz czy Katarzyna Kobro.

WIĘCEJ: zacheta.art.pl





ABORCJA
PRAWEM
A NIE
PRZYWILEJEM

KONIEC KOMPROMISÓW
LEGALNA ABORCJA!
+48 22 29 22 597

DOBRO WSPÓLNE

Fundusz Feministyczny

zdjęcie i tekst MARTA RYBICKA

Magdalena Pocheć (pomysłodawczyni), Justyna Frydrych, Marta Rawłuszko, Małgorzata Leszko i Mona Szychowiak tworzą zespół Funduszu Feministycznego. To jedyna instytucja w Polsce, która za pomocą minigrantów wspiera działania realizowane wyłącznie przez kobiety i dziewczyny w całym kraju.

– Nasz feminizm skupia się na kobietach, które w szczególny sposób są narażone na wykluczenie: na migrantkach, kobietach z niepełnosprawnością czy osobach transpłciowych – mówi Magda.

Idea inwestycji w konkretne osoby na poziomie lokalnym sprawia, że finansowane projekty obejmują nawet najdrobniejsze, często najmniej popularne inicjatywy. Założycielki wierzą, że tego typu działania są najtrafniejszą i najszybszą reakcją na potrzeby kobiet. A to z kolei wywiera pożądany wpływ na zmianę zachowań społecznych.

Obecny kryzys polityczny umocnił potrzebę wzmocnienia inicjatyw kobiecych. Możesz je wesprzeć przez femfund.pl

Cykl we współpracy z kampanią „Organizacje społeczne. To działa”
www.todziala.org

PROZA

Wszystkie dzieci, nawet złe

oprac. ZOFIA SAWICKA



Kiedy się dowiedziałam, że tam są? Kiedy pierwszy raz przyłożyłam ucho do podłogi, spróbowałam podważyć jedną z cienkich listewek, którymi babcia łątała szpary między klepkami? Jaki szmer, szelest, jaki ślad zapachu sprawił, że zaczęłam szukać?

Nie miałam do nich daleko – większość mojego życia rozgrywała się wówczas przy podłodze, na kolanach, na czworakach. Kiedy przychodzili goście, zaczajałam się w przedpokojach na ich buty, wlokłam je gdzieś jak szczeniaki, rozkoszując się brzmieniem pierwszego w życiu słowa: „buti, buti”. Spędzałam długie minuty rozciągnięta pod drzwiami łazienki, sprawdzając, czyje kapcie widać przez szparę, po kapiach się orientując – a potem głośno oznajmiając – który z domowników akurat korzysta z przybytku.

Podczas jednej z wędrówek zaniósł mnie do kuchni, gdzie weszłam czołem w drzwiczki pralki. (Gdy parę lat później usłyszałam, że miałam rozciętą głowę, wyobraziłam ją sobie jako jajko, od którego jednym zamachem noża odcięto czubek). Wrzeszczałam, krew zalewała mi oczy, ale nawet to mnie nie zniechęciło. W szpitalu przyszyto mi odpadniętą pół głowy, równiutko, na okrętkę, a po powrocie do domu dalej niestrudzenie wycierałam sobą kurze. Pełzłam uparcie, odpychając się antypoślizgową podeszwą niemieckiego skarpetokapcia z darów, kolano za kolaniem, a jak trzeba, to i na brzuchu, blisko, blisko, bardzo blisko ich świata.

Tak pełną, któregoś razu przekroczyłam granicę.

Może to kolorowa szklana kulka potoczyła się pod szafę z cichym w kłębie kurzu stukotem. Może guzik od pulowera, biały, z czerwono tłoczonym kotkiem. Może to za nim poczołgałam się między nogami biurka i nieoczekiwanie wkroczyłam w ukośnie padający promień słońca. W unoszącym się ponad podłogą kurzu zamajaczyła fatamorgana – szare blokowiska, ulice oświetlone gazowymi latarniami, zardzewiałe place zabaw. Błona oddzielająca światy ugięła się, napięła i pękła. Zostałam wpuszczona do środka. Nie dziwiłam się, nie zadawałam pytań. Zrobiłam to, co zwykle robią ludzie w takich sytuacjach. Nadałam imię istotom zamieszkującym nowy świat.

— A MOŻE TAK NAPRAWDĘ od imienia się zaczęło? Może zapach pasty do podłóg i wirujące w słońcu drobiny kurzu stanowiły tylko dekorację, nieistotny sztafaż, a na początku jak zwykle było słowo? Dźwięczne słowo, którego znaczenia nie rozumiałam.

Powaby.

Powaby były częścią Opowieści. Opowieść, wciąż ta sama, stuzwrotkowa, zaczynała się jednego wieczora i ciągnęła następne, jak *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*. Z pamięci, z książki, raz prozą, raz wierszem, w różnym rytmie, czasem nawet z melodią – płynęła. Pluskały się w niej kijanki („od Janka dla Hanki”, jak zapisał na stronie tytułowej autor), na wzburzonych falach unosiła się zrobiona z połówki orzecha łódka pana Maluśkiewicza. Brzegiem kroczył majestatycznie Dytko na słomianych nogach, ciągnąc za sobą armię wampirów i lunatyków (tych ostatnich obawiałam się najbardziej), o których opowiadał mi dziadek. Kot palił fajkę i płakał piesek Bryś, który wpadł do dołu, „Brysiu, Brysiu” – wołał jego pan po całym lesie, a ja za każdym razem drżałam, że się nawzajem nie odnajdą, pan i piesek. Kijanki przemieniały się w żaby, kapała krew z nożyc Krawca („A paluszki na podłodze!” – buczała straszonym głosem prababcia, po czym wybuchała śmiechem i łaskotała mnie w pięty). Tłuste grubasy jadły kiełbasy, ptasie radio grało noc i dzień. Zdarzały się akty wojny i nagłe demonstracje pogardy („A na przykład głupie żaby / Za nie mają te powaby”).

Na sam koniec rozbrzmiewała kołysanka, ta o wszystkich dzieciach, nawet złych. (Ale jakie są te dzieci, zastanawiałam się, co złego robią, gdzie ich szukać i czy warto?) Któregoś razu, owinięta w pościel aż po brodę, kołysana melodią („Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz, dostaniesz”), błędząc wzrokiem po suficie, oznajmiałam:

– Zosia śpi. I baba śpi. I Betina śpi. I powaby śpią.

Betina, oficjalnie Betty, była czarnym pudłem. Jestem prawie pewna, że istniała naprawdę, choć rodzice jej nie pamiętają. Powabów nie było, dopóki się nie stały.

– Powaby mieszkają pod podłogą.

Gdy to powiedziałam, stało się jasne, że mieszkają tam od zawsze. Jak gołębie na parapacie, jak trzaski w fontannie na Nowym

Mieście. Jak sprzedawczynie w sklepie, a Bóg z zakonnkami w kościele. Powaby. Powabki.

— ICH ŚWIAT był mroczny, ale bezpieczny i spokojny. Przynajmniej do pewnego momentu. Nie działa się wiele. Tyle, co w życiu przeciętnego, szczęśliwego dziecka. Mamy i tato wie, poranki i wieczory, place zabaw, szklane kulki i kąpiele w towarzystwie żółtego termometru w kształcie ryby. Czasem jakaś sensacja: głęboka kałuża przed domem, motyl zaplątany w firankę albo bajka Disneya w czarno-białym telewizorze. Ich życie wyglądało jak moje życie, bo żadnego innego życia nie umiałam sobie wyobrazić.

Zapytana, jak powabki wyglądają, udzielałam mętnych odpowiedzi. Widziałam tyle, ile były skłonne mi pokazać. Że są trochę przejrzyste, jak duchy. Jakoś podobne do kijanek (w końcu od nich pochodziły), trochę do syren, ale też do traszek, które chodziłam oglądać z tatą na Nowe Miasto. Zachował się tylko jeden rysunek, koślawy, wykonany bardzo jeszcze niewprawną ręką. Maleńki stwór z jaszczurczym ogonem, o lasce i w meloniku, unosi się pośród przestworza kartki. W niewyraźnym, obłym pyszczku lśni czarne oko.

Przyjmijmy więc, że wyglądały właśnie tak: przezroczyste jaszczurki, duchy, płody zamieszkujące gorącą ciemność pod podłogą.

Wkraczałam w tę ciemność jak w sen. Bez wysiłku i bez zdziwienia. Wiedziałam, że jestem bezpieczna i że się nie zgubię, nie zabierze mnie Dytko, nie stracę z oczu drogi powrotnej. Przecież wszystko tam było moje. Chodziłam pomiędzy ich blokami równie swobodnie jak po podwórku przy Górskiego, po Okólniku i Ogrodzie Saskim. Bez trudu wymijałam toczące się ulicami gigantyczne koty kurzu, kurzowe chamaechory zgarniające wszystko, co napotkały na swej drodze (ale nie mnie). Światła w oknach bloków świeciły równo, rzędami, jak otwory w płycie pilśniowej z tyłu starego radia – nie w ten chaotyczny, nieprzewidywalny sposób, charakterystyczny dla okien naszego świata. Gdy zadzierałam głowę, widziałam nabijane gwoździami drewniane niebo.

Podkładałam się pod place zabaw, patrzyłam, jak powabcze dzieci grzebią w piasku,

układają kwiatowe sekrety pod taflami z bu-telkowej stłuczki, nadziewają ciastka z błota perłowymi kulkami śnieguliczki. Niekiedy podchodziłam bliżej, dokładałam swoją babkę, zagrzebywałam w piasku własny sekret. My się bawiliśmy, a tymczasem powabczy rodzice zarabiali na chleb w ciastkarniach, lodziarniach, fabrykach kolorowych koralików i guzików z kotkiem.

(Jak mały jest powabczy guzik? I co się dzieje ze światem, gdy taki guzik potoczy się powabczemu dziecku po podłodze, wpadnie w szparę między klepkami? Co się wtedy znacznie i gdzie się skończy?)

Po każdej wizycie opowiadałam babci o sklepach z zabawkami, peweksach pełnych klocków Lego i Kenów z prawdziwymi włosami, o pomarańczach i czekoladkach bez kolejki, tacach z pańską skórą na rogu każdej ulicy (zupełnie jakby codziennie było tam Święto Zmarłych). O złotym księżycu zawieszonym na cienkiej organicznej nitce między naszą podłogą a ich światem.

Którędy przechodziłam, nie wiem.

— ZA KTÓRYMŚ RAZEM przejście okazało się zamknięte. Może wtedy, kiedy wreszcie stanęłam pewnie na dwóch nogach, dalej od podłogi. Za tę wywrotową postawę odebrano mi paszport, odmówiono prawa wstępu.

Granicę zamknięto, ale na szczęście miałam telefon. Zielony, plastikowy, z chromowaną tarczą i wrzutnią na monety. Bez większego powodzenia udawał staroświeckie ebonitowe aparaty, miał nawet korbkę. Kręciłam nią sumiennie, razy trzy i jeszcze raz w przeciwnym kierunku, żeby się na pewno dodzwonić. Nie było to łatwe, prawdę mówiąc, rzadko się udawało, i nigdy wtedy, gdy w pobliżu znajdowali się dorośli.

Rozmawiałam zazwyczaj z jednym z nich, mężczyzną, ojcem rodziny, zmianowym w fabryce wytwarzającej radzieckie budziki w kształcie kur i niedźwiedzi.

– Czy pan Powabek?

Nie wiedziałam, o co pytać i co powinnam usłyszeć. Moje pytania były więc nieprecyzyjne, nieumiejętne, zwyczajnie niemądre.

Jaka tam u was pogoda? Bo u nas śnieg, zaspę, łyżwy i bałwany. Co u pani Powabkowej? A u dzieci? Czy do powabcząt przychodzi Święty Mikołaj, czy może Dziadek Mróz, siny, sinobrody, podrabiany jak wyrób czekoladopodobny? Zakładałam, że jako dorosły, pan Powabek najbardziej interesuje się dorosłymi sprawami. Pracą, cenami benzyny i papierosów albo gdzie kupić mikser, rajstopy i watę. Próbowалам więc powtarzać mu to, co sama słyszałam od rodziców i babci, kiedy myśleli, że nie słucham. Opowiadałam, że w sklepach nie ma niczego albo prawie. Że na kartki, że kolejki. A czy tam u was rzucili pomarańcze na święta? I czy te prawdziwe, czy raczej kubańskie, mdłe, skórzaśte, najeżone pestkami? Czy małe powabki w ogóle mają co jeść?

Ja miałam, mogłam się podzielić. Sztuczny miód w pudełkach z napisem „serek wanilinowy” i pieczęcią „opakowanie zastępcze”. Wstrętny agrest kandyzowany w burych kartonikach z okienkiem. Jarzębinę w cukrze – kwaśną, cierpką, wspaniałą. Wpychałam kawałki owoców w co szersze szpary w podłodze. Oto dary dla was. Oto dary ze zgniłego Zachodu.

Moje cukrowe rzuty znikwały pod osłoną nocy. Może trafiały do adresatów, a może jednak następowało wrogie przejęcie przez obce wojska, liczną i znakomicie zorganizowaną Armię Pomarańczową, zastępy mrówek faraona? One też mieszkaly pod podłogą, tyle że w kuchni. Były kruche i zawzięte, a od jarzębiny wołały mięso. Na ich trasach babcia kładła wieczorami kawałki surowego kurczaka. Nad ranem wrzucała rojące się pomarańczowo pasma do sedesu. W swych mięsnych łodziach, nucąc pieśni wielorybników, wiosłując w rytm, mrówki spływały do Wisły.

Te, które nie udały się do mrówczej Walhalli, urządzały nocne rajdy na powabki, zaczynały się na nie za węgłem z siekierką, z tomahawkim. W podziemnych mrowiskach przerabiała powabki na kotlety, składały z nich ofiarę całopalną faraonowi. Może to dlatego telefon czasem milczał, może panował tam u nich ciągły stan wojenny i, wymijając chamaechory z drutu kolczastego,

jeździły ulicami czołgi wielkości pudełka zapalek?

Brałam to pod uwagę. Bez wielkiego niepokoju. Mrówki pożerające powabki stanowiły naturalną kolej rzeczy, jak urąbane pięty sióstr Kopciuszka, jak pokazywana parę lat później we wszystkich telewizorach dziura w głowie pana Nicolae Ceaușescu.

— KTÓREGOŚ RAZU, może w maju, wyprowadziłyśmy się z rodzicami od babci. Przenieśliśmy się na Starówkę, kolorową atrapę Staro Miasta, pachnącą końskim nawozem (stukot podków budził mnie co rano i co noc kołysał do snu) i cebulą z bułek z pieczarkami serwowanych w kawiarni Murzynek. Wchodząc pierwszy raz do mieszkania, od progu przyłożyłam ucho do ziemi, postukałam w klepki. Na próżno. Pod tutejszą podłogą nic nie żyło, w każdym razie nic wielkiego. Po podłodze biegały luzem chomiki, Pusia, później Mikuś (co dwa–trzy lata wyrastał na działce nowy kurhanek). Czasem całkiem porzucały klatkę, wybierały wolność, zakładały gniazda za szafkami w ślepej kuchni, wygrzały na wylot tunele w hałdach świeżo wymaglowanej pościeli, umierały od ukąszenia osy.

Z plemion żyło na Starówce tylko plemię pijaczków, równie jak powabki nieuchwytnie, ale bardziej uciążliwe, zaznaczające swoją obecność rykami w ciemności i kałużami sików albo rzygów wykwitającymi nocą na naszej klatce. „Pijaczki, cholerne pijaczki!” – wołałam radośnie, skacząc przez kałuże. Potem wybiegałam na podwórko, by wraz z innymi dziećmi urządzać sobie wyprawy do Krainy Smrodów, na tyły Centrali Rybnej przy ulicy Pivnej. Schodziliśmy schodkami w dół, pod stopami trzeszczały nam ogryzione przez koty rybie łby. Ości pokrywały wszystkie stopnie, zalegały jak na prehistorycznej plaży, cmentarzysku rybiej cywilizacji, i tylko naprawdę odważni wytrzymywali tam dłużej niż trzy oddechy. Później biegliśmy pod Barbakan, gdzie zbudowano z desek szafot, na który raz za razem wbiegała Różia, by uratować od śmierci księcia

Lulejkę, stop, akcja, cały dzień tak wbiegała, cały dzień staliśmy w tłumie, nie mogąc się napatrzeć. Kiedy potem poszłam z babcią na *Pierścień i różę*, bardzo się zdziwiłam, że ostatecznie Różia wbiegła tylko raz. Byłyśmy też na *E.T.* i bardziej od lądowania kosmitów zaskoczyło mnie, że wystarczył jeden telefon, by pod drzwiami bohatera pojawił się wielki, okrągły placek w kartonowym pudle. U nas pojawiało się tylko mleko, w dodatku samo, bez dzwonienia. Lekkie kapsle były zrobione z blaszki drukowanej w kratkę, zieloną albo pomarańczową (taką samą cienką blaszką spinano bukiety w kwaciarniach). W przedszkolu butelki po mleku i śmietanie oklejaliśmy plasteliną i rozmokłymi gazetami barwionymi farbą plakatową. Na Dzień Górnika robiliśmy czapki z czarnego kartonu i krepiny, na Dzień Matki lepiliśmy wysadzane muszelkami niebieskie popielniczki z masy solnej. Moja mama nigdy nie paliła, więc swoją popielniczkę zjadłam.

Muszelki wyplułam.

TYMCZASEM GDY wracałam na Górskiego i podnosiłam słuchawkę zielonego telefonu, w głosie pana Powabka rosło drżenie. To drżała ziemia pod podłogą, na betonowych płytach chodników pojawiały się pęknięcia, piasek w piaskownicach zapadał się, tworząc wiry, pochłaniając sekrety pod szkiełkami. Zdarzyło się nawet, że w szczelinę wpadło jedno czy drugie powabcze – i znikło na zawsze, bez wieści. Ktoś krążył wyżej, ponad ich światem, tupiąc podkutymi butami, zbliżał się nieubłaganie, krok za krokiem.

Nie interesowało mnie to, wolałam nie wiedzieć. Na pocieszenie śpiewałam powabkom piosenki przyniesione z przedszkola, te najładniejsze, które babcia nagrywała na okrągłe szpule magnetofonu. O żabce małej i o milicjancie („on myśli, on myśli życiowie o wszystkich”). Gdy nie chciało mi się śpiewać, stawiałam przy telefonie pozytywkę z trochę już wyłysiałym sztucznym kanarkiem, podskakującym na żerdce w rytm melodii. Lubiłam słyszeć pod melodią zgrzyt walca, cichy chrobot obracających się z wysiłkiem trybów. Lubiłam ten moment przed końcem, kiedy melodia nagle zaczynała się potykać, ustawać, zamierać. Walec toczył się z coraz większym trudem i nigdy nie było wiadomo, czy da jeszcze radę unieść jedną

z cienkich blaszek, czy na niej się zatrzyma. Nigdy nie było wiadomo, który dźwięk będzie ostatnim.

Z czasem pan Powabek coraz rzadziej podchodził do telefonu i coraz mniej chętnie się odzywał. Milczał, coś tam trzeszczało. W plastikowej słuchawce pojawiały się inne głosy, głosy, które zwalniały mnie od zadawania pytań, koily zbyt wytężoną wyobraźnię. Mówiły: „rozmowa kontrolowana”. Albo: „wrzuc monetę, wrzuc monetę”. Wrzucałam, ale to nie uciszało głosów. Czy to były Głupie Żaby, czy dzieci, nawet złe? Albo jakieś inne powaby, te od pilnowania porządku („on myśli, on myśli życiowie o wszystkich”)?



NADESZŁO LATO. Mój dziadek ze strony mamy na loterii pracowniczej FSO wylosował przydział na działkę. Sto metrów kwadratowych na Białoleśce, niedaleko aresztu śledczego i osiedla zwanego Klawiszewem.

Zielony telefon przestał być moją ulubioną zabawką. Wolałam zieloną konewkę w kształcie żaby i czerwone, drewniane taczki. Zaczął się czas działki, czas ziemi i wody. Życie roilo się w beczce z deszczówką, skrobało w ścianach altanki, zostawiało czarne bobki koło kompostu, spadało na kark liszką, gryzło komarem. Pod czujnym okiem babci i dziadka wkładałam rękę w śmierdzący kwaśno kompost, dziwiąc się pulsującemu pod powierzchnią gorącu. Płukałam w balii szarawe dżdżownice, aż załśniły mięsistym, jaskrawym różem. Po deszczu wychodziłam na drogę, boso brodziłam w błocie kałuż, zbierałam ślimaki do wiaderka. W pogodne dni od strony aresztu niosły się nawoływania więźniów.

Uczyłam się zasad panujących w świecie działkowców: poważać biedronkę i złotooka,

gardzić zaś mszycą, podlewać ogórki wodą zagraną w balii i zawsze pod liście, porzeczkę zrywać całymi kiściami, nie ciągnąc. Pomagałam pielic grządkę i zastawiać pułapki na krety. Krety były tajemnicze prawie tak jak powabki i jak one miały swoje podziemne miasta. Włamywaliśmy się do ich domów, rozgrzebując kopiec i wkopując w ziemię wielki słoń po ogórkach. Nad słońcem babcia kładła obciętą z obu końców butelkę po oleju, sztuczny korytarz z dziurą w podłodze. Czasem (choć rzadko) następnego dnia pułapka okazywała się pełna kreta. Patrzałam, jak wierci się w słoju, ociera o ścianki ciemnoszarym futerkiem, szerokimi łopatkami łapek gmera po szkle. Żałowałam go, wydobytego na powierzchnię wbrew woli, zmuszonego do patrzenia w światło ślepyimi oczkami. Uroczyście nadawałam mu imię i życzyłam szerokiej drogi, gdyśmy go wypuszczali w lesie, po drodze na cmentarz Bródnowski.

Tylko raz kret w słoiku okazał się martwy, utopiony deszczem. Przypominał szarą, źle wyżętą szmatkę. Pochowałam go w skalniaku, obok chomików i wyjętych z pułapek myszy.

NA BRÓDNIE poznawałam świętych zmarłych. Do tej pory znałam tylko Świętego Mikołaja i świętych z przeglądanych u babci albumów z malarstwem – gołych, tłustawych, różowych jak świeżo wypłukane dżdżownice. Niektórzy trzymali na talerzach własne oczy jak jajka sadzone, krągłe kopczyki własnych piersi, zwoje jelitowych serdelków. Inni stali oparci o słupek ze zdartą skórą, nonszalancko przerzuconą przez ramię, uśmiechając się porozumiewawczo.

Święci zmarli byli inni. Leżeli pod ziemią. Od tego leżenia kruszeli jak zające wywieszane za oknami Związku Łowieckiego, rozmiękali, nasiąkali zapachami cmentarza, wonią obwarzanków i pańskiej skórki, i siarki z zapalek. Straszliwą czaszką, kłapali szczęką. Odwracałam oczy od pęknięć na płytach nagrobnych. Były najpewniejszymi wrotami do ich świata. Tam leżały ich kości, czaszki, których bałam się bardziej niż wampirów i lunatyków. Czasami pchałam sobie palec w oko i ze zgrozą domacywałam się oczodołu, przez skórę i ciało dotykałam kości. Dreszcz przebiegał mi wzdłuż kręgo-

słupa. Siedźcie w ziemi, święci zmarli, siedźcie spokojnie. Siedźcie cicho, jak powabki pod podłogą.

Raz do roku, w listopadzie, zmarli jednak wychodzili, przejmowali powierzchnię we władanie. Ponad cmentarzem unosił się czarny dym, złota luna świeła. Na jedną noc Bródno stawało się podobne do odwróconego do góry dnem świata kretów i powabków. Znów byłam wpuszczona, znów wolno mi było wędrować ulicami podziemnego miasta, w pełgającym świetle zniczy.

Listopad powoli osuwał się w grudzień.

— NA KOLEJNE Boże Narodzenie dostałam przezroczystrą piłeczkę z kauczuku. Pomarańczowa, z zaklętym we wnętrzu wirem brokatu, była najpiękniejszym przedmiotem, jaki w życiu widziałam. Odbijała się od podłogi aż do sufitu, ale wolałam trzymać ją w zacisniętej dłoni, wachać przedziwny zapach, wpatrywać się w złote iskry. Wiedziałam jednak, że nie przyniósł jej Święty Mikołaj. Nawet nie Dziadek Mróz.

Wiedziałam, bo dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem zobaczyłam ją po raz pierwszy, w szafie na górnej półce (musiałam przysunąć sobie stołek), owiniętą w szeliszczący zielony papier w złote dzwonki.

Czegoś się wtedy dowiedziałam, świat nieco się poszerzył, a z drugiej strony – odrobinę skurczył. Jak źle uprany wełniany sweter, nagle wielki i rozciągnięty, a zarazem zbyt krótki, by okryć tajemnice stworzenia.

— NAD PODŁOGĄ BROKAT WIROWAŁ W PIŁCE. Pod podłogą tworzył się inny wir, zabójcze czarne tornado, wciągające cały świat w odpływ większej od świata wanny. Wanna była żelazna, emaliowana, z czarnymi odpryskami. Pływał w niej potwór morski, lewiatan, żółta ryba-termometr z podziałką na grzbiecie. Pokusa, by wrzucić coś w wirującą kibel tuż nad odpływem – kauczukową piłeczkę, guzik z kotkiem, powabka – była czasem tak silna, że musiałam mocno zamykać oczy, by się jej nie poddać.

Może o tym wiedziały. Przeczuwały zmianę we mnie, rozumiały, że odchodzę, że pomalą z sojusznika staję się wrogiem, z tych najgroźniejszych, straszniejszych niż mrówki i czołgi, że jestem krokami dudniącymi



ponad ich niebem. Pewnie dlatego zielony telefon milczał. Może zresztą milczał zawsze. Może nigdy nie rozmawiałam z żadnym panem Powabkiem, zmyśliłam to sobie, jak to dzieci, wszystkie dzieci, nawet złe. Przecież nie pamiętałam jego głosu, skąd pewność, że kiedykolwiek go słyszałam? Skąd wiadomo, że nie był jeszcze jednym kłamstwem dorosłych, jak kauczukowa piłeczka wyciśnięta na górnej półce szafy?

Pomału tracona wiara dodała mi odwagi do bluźnierczego czynu. Pewnego dnia postanowiłam pójść w ślady Świętego Tomasza i włożyć palec w pęknięcie świata.

— ZGROMADZIŁAM NAJSTRASZLIWSZE narzędzia, jakie udało mi się znaleźć w kawalerskiej szufladzie taty. Szczyryk wędkarski, ginekologa do fajek, niewiadomego przeznaczenia szpikulce w drewnianym stylisku i – na wszelki wypadek – metalową płaskorzeźbę przedstawiającą Świętego Józefa.

Szczyrykiem i szpikulcem po kolei wydułabam wszystkie szczapki ze szpar pomiędzy deskami. Świętym Józefem podważałam klepkę. Czułam się źle, głupio, trochę jak wtedy, kiedy na działce pierwszy raz rozgrzebałam patykiem mrowisko, a potem z miękkiego jajka wyłuskałam niemrawo gmerającą odnóżami mrówkę, jeszcze nie dojrzałą, całkiem białą. Albo gdy rozkopałam kreci kopiec, zasypując mokrą ziemię pieczołowicie drążone korytarze. Ale takie jest prawo – do obcych, niewspółistotnych nam światów można się wdrzeć tylko gwałtem, tylko jako najeźdźca, niszczyciel. Czy podważając deski parkietu, myślałam o żółtym księżycu, jak toczy się po podłodze, szklana kulka, guzik z kotkiem? Czy spodziewałam się przerażonych powabków, którym nagle ktoś zerwał dach świata, biegających w kółko w szlafrokach i papilotach, załamujących

ręce, wygrażających niebu? Czy spodziewałam się usłyszeć krzyki, zobaczyć drżenie, gorączkową bieganicę, próby ukrycia się w piwnicy? Niewykluczone.

Na pewno wiedziałam już, kim są dzieci złe i gdzie ich szukać.

Podniosłam klepkę.

Pod spodem znalazłam bardzo dużo brudu, dwa szklane koraliki, resztkę jarzębiny w cukrze i zdechłego krocionoga. Jemu przyglądałam się najdłużej. Bo był lekko przejrzysty, trochę może podobny do nich. Nie miał jednak melonika. Ani laski. Gdy trącałam go ginekologiem, ukruszyła mu się noga.

A więc wyginęły, wymarły, jak dinozaury, traszki z fontanny, jak święci zmarli. Nie zdziwiłam się zbyt. Wielkie wymierania nie są przecież niczym wielkim.

— TRZYDZIEŚCI LAT PÓŹNIEJ, kiedy blizna na moim czole była już tylko cienką, srebrzystą kreską, małe wymieranie dotknęło naszą rodzinę i było to tak zwykłe, jak zwykle zwykłe jest.

Mieszkanie na Górskiego stało puste, jeszcze pełne zapamiętanych zapachów i odłamków życia. Wciąż nakręcony zegar tykał, rozsychające się klepki podłogi potraskiwały w ciszy. Szlafrok na drzwiach łazienki pachniał talkiem. Grzebałam na górnych półkach szafy, w poszukiwaniu albumów, z których dałoby się wybrać jakieś zdjęcie na pogrzeb. Potrąciłam pozytywkę z kanarkiem. Drgnął, dwa razy podskoczył na żerdce, zgrzytnęły tryby, kilka dźwięków wsiądko w ciszę. Wtedy właśnie spadł mi na głowę zielony telefon. Mniejszy niż zapamiętałam. Kanciasty i tak brzydki, jak to tylko zabawki mojego dzieciństwa bywały. A jednak postawiłam go przed sobą, na podłodze, zakreśliłam korbką sumiennie, razy trzy i raz. A potem tarczą, każdą cyfrę po kolei, bo wiedziałam, że tylko tak da się dodzwonić do centrali w olbrzymim podziemnym mieście, to jedyny sposób, żeby się skontaktować z jego mieszkańcami.

I baba śpi. I Betina śpi. I powaby śpią.

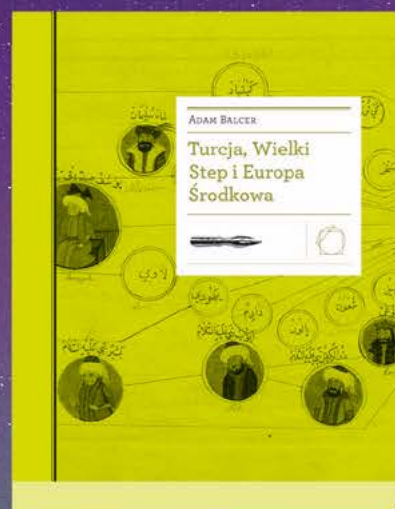
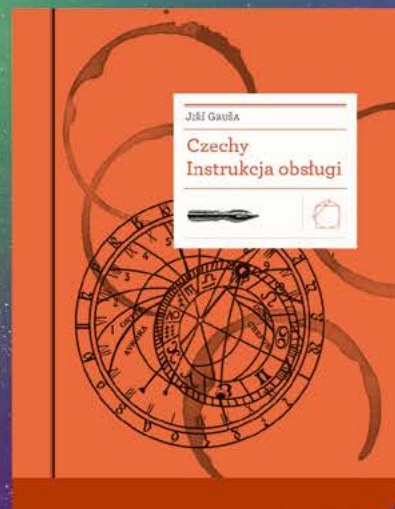
Tylko ja nie śpię, wsłuchuję się w trzaski w słuchawce, daleki szum podziemnego miasta.

Jeśli tam jesteście, odpowiedzcie.

Pierwsze wydania
książek Larry'ego
Wolffa po polsku!

Podróż zimowa

z wydawnictwem MCK



Rośliny i zwierzęta
Plants & animals

Rośliny i zwierzęta Atlasy historii naturalnej w epoce Linneusza

Projekt graficzny: Krzysztof Radoszek

Książka o „wielkim pięknie” świata żywego, o naukowych i artystycznych fascynacjach arcydziełami natury. Uozta dla oka i impuls do namysłu – zwłaszcza dziś, gdy przyroda wydaje się bardziej niż kiedykolwiek krucha i narażona na unicestwienie.



MIĘDZYNARODOWE
CENTRUM
KULTURY



PORTRET

Rzadko się boję

tekst HADLEY FREEMAN
przełożył JAN DZIERZGOWSKI



PO PIĘCDZIESIĘCIU LATACH od pierwszego aresztowania Jane Fonda znów została zatrzymana przez policję za udział w proteście. Tym razem osiemdziesięcioletnia gwiazda chce zmusić rząd do przeciwdziałania zmianom klimatu.

Kiedy Jane Fonda została aresztowana w Waszyngtonie w grudniu zeszłego roku, kilka dni przed swoimi osiemdziesiątymi drugimi urodzinami, odniosłam wrażenie, że historia się powtarza – bynajmniej nie dlatego, że było to już jej piąte zatrzymanie w ciągu kilku tygodni. Fonda uczestniczyła w protestach (nadal trwających, choć obecnie odbywających się online) przeciwko bierności rządu Stanów Zjednoczonych w obliczu kryzysu klimatycznego. Kiedy Donald Trump dowiedział się o aresztowaniu, piał z zachwytu na wiecu: „Zgarnęli Jane Fondę! Nic się nie zmienia. Trzydzieści, czterdzieści lat temu też ją zgarbiali, sam pamiętam. Rany, ona zawsze paraduje w kajdankach”.

Poniekąd miał rację, aczkolwiek z tymi „czterdziestoma latami” trochę nie doszacował. Pierwszy raz Jane Fondę aresztowano w 1970 roku. Minęło pół wieku, a ona wciąż chodzi na protesty, nadal trafia za kratki i jest wykpiwana przez amerykańskich prezydentów. Na słynnych taśmach z Białego Domu zarejestrowano, jak w 1971 roku Richard Nixon wypowiadał się o niej pogardliwie, kiedy demonstrowała przeciwko udziałowi Stanów Zjednoczonych w wojnie w Wietnamie. „Ta Jane Fonda – z nią jest chyba coś nie tak. Żał mi Henry’ego Fondy, bo to miły człowiek. [Jego córka – przyp. tłum.] na pewno jest świetną aktorką, ma ładną buzię, ale co rusz trafia jak kulą w płot”. Niecały rok później wybuchła afera Watergate. Ktoś powinien powiedzieć Trumpowi, że w większości przypadków to Fonda ostatecznie wygrywa, a jej przeciwnicy marnie kończą.

Mimo wszystko pewnie niełatwo przywyknąć do tego, że najpotężniejszy człowiek na świecie otwarcie tobą gardzi. Czy Fonda czasami czuje strach?

– Sama nie wiem dlaczego, ale rzadko się boję – mówi Fonda, łącząc się ze mną ze swojego domu w Los Angeles. – Bywałam w najróżniejszych sytuacjach. Strzelano do mnie, zaliczyłam nawet bombardowania. Ale zazwyczaj nie jestem jakoś szczególnie

przeżazona. Chyba że chodzi o bliskość emocjonalną. Ona rzeczywiście budzi mój strach – dodaje aktorka i śmieje się z samej siebie.

Co do moich obaw – trochę się boję tej rozmowy, właśnie dlatego, że rozmawiam z osobą nieustraszoną. Po raz pierwszy aresztowano ją w trakcie odprawy celnej, bo ktoś uznał, że witaminy, które miała w walizce, to narkotyki. „Mam rozkazy z Waszyngtonu!” – dał się jeden z celników. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Na słynnym zdjęciu do kartoteki policyjnej Fonda trzyma uniesioną dłoń, zaciśniętą w pięść.

Jakie myśli przemykały jej przez głowę, kiedy robiono tę fotografię? – Opór – mówi stanowczo, po czym dodaje: – Cieszę się, że światło było dobre!

Co czuje, patrząc na inne słynne zdjęcie, wykonane w Hanoi w 1972 roku? Fonda przy dziale przeciwlotniczym nieprzyjaciela: wygląda, jakby zamierzała zestrzeliwać amerykańskie samoloty. Od kilkudziesięciu lat rodacy nie mogą jej tego zapomnieć. – Chce mi się wymiotować. Rozumiem, dlaczego ta dziewczyna... Dlaczego to się stało. Czuję wstręt na myśl o całej sytuacji. Ale czy żałuję, że tam pojechałam? Ani trochę. Było to najbardziej przełomowe doświadczenie w moim życiu.

Dawno temu przeprosiła za pozowanie przy dziale Armii Północnego Wietnamu, lecz nie przestała protestować przeciwko wojnie. Nawet wówczas, gdy ludzie urządzali demonstracje pod kinami, w których wyświetlano jej filmy.

Zdobyła dwa Oscary (za *Klute* i *Powrót do domu*), niektórzy uważają jednak, że niezwykle życie Fondy przyćmiło jej karierę. Dla jednych na zawsze pozostanie Hanoi Jane, dla innych – królową aerobiku. Jej film treningowy *Jane Fonda’s Workout* do dziś znajduje się na liście najchętniej kupowanych nagrań wideo w historii. Tymczasem aktorka przygotowała go wyłącznie po to, żeby zebrać pieniądze na rzecz Campaign for Economic Democracy (CED), organizacji non profit, którą prowadziła razem ze swoim drugim

mężem, radykalnym działaczem lewicowym Tomem Haydenem. Bogate panie domu nie miały pojęcia, że ćwicząc mięśnie brzucha, finansują socjalistyczny aktywizm. Fonda zebrała ponad 17 milionów dolarów dla CED. (Hayden, klasyczny samiec lewicowiec, dość pogardliwie wypowiadał się o nagraniu z ćwiczeniami. „Myślałam sobie: OK, może jestem próżna. Ale jak inaczej zdobyłbyś te 17 milionów?” – wspominała w autobiografii *Moje życie...* z 2005 roku).

A ponieważ nic się tak naprawdę nie zmienia, podczas *lockdownu* Fonda wróciła do nagrywania swoich ćwiczeń. Tym razem wrzuca je na TikToka, by przy okazji podbić temat protestów w obronie klimatu. W wieku osiemdziesięciu trzech lat nadal łączy trening z aktywizmem. – To świetna zabawa, poza tym dzięki TikTokowi można dotrzeć do osób z młodszych grup wiekowych – wyjaśnia ze swobodą osoby doskonale obeznannej z mediami społecznościowymi.

Wciąż jest niesamowicie podobna do ojca, a dzięki wydatnym kościom policyjnym i ciemnym brwiom sprawia – tak samo jak Henry – wrażenie osoby, która nie ma cierpliwości do idiotów. – Ma fantastyczne poczucie humoru, a poza tym jest otwarta i szczerą. Kto jak kto, ale Jane nie owija w bawełnę – mówi mi Sam Waterston, jej kolega z obsady świetnego serialu *Grace i Frankie*.

Fonda wydała właśnie nową książkę, zatytułowaną *What Can I Do? (Co mogę zrobić?)*. Próbowалаm policzyć, ile ich już opublikowała. Chyba dwanaście, ale nie mam pewności. Wydają się dziwną zbieraniną: część to zestawy ćwiczeń, jest też poradnik dla nastoletnich dziewczyn. Mimo to w każdej pobrzmiwa głos Fondy aktywistki. Książka *Being a Teen (Być nastolatką)* powstała, bo Jane w latach 90. założyła fundację Georgia Campaign for Adolescent Power & Potential (GCAPP), mającą na celu zmniejszenie wysokiej liczby ciąż wśród nastolatek w Georgii. A książki o aerobiku to przecież *Kapitał* Marksa ukryty pod trykotami (no prawie).

Łatwo wyśmiewać aktywizm celebrytów, ale Fonda może się pochwalić naprawdę imponującymi dokonaniem. Walczyła o ochronę środowiska już w latach 60., odkąd dowiedziała się, że spaliny samochodowe zatruwają atmosferę. Co ją motywuje? Dlaczego ryzykuje spanie na twardych metalowych łóżkach w aresztach (– Jestem

kościasta, więc to dość bolesne – przynajnie), zamiast cieszyć się spokojem w dziewiątej dekadzie życia?

– O Boże, robię to dla własnego zdrowia psychicznego! W zeszłym roku odchodziłam od zmysłów, cały czas byłam przygnębiona. Widziałam, że wszystko dokoła się wali, a ja nic nie robię. Kiedy tylko opracowałam sobie plan działania, od razu poczułam się lepiej!

What Can I Do? to poradnik dla osób, które chcą się zaangażować w protesty, oparte na doświadczeniach Fondy z czasu tak zwanych Fire Drill Fridays, czyli Piątkowych Ćwiczeń Przeciwpowozarowych. Była to cykliczna akcja organizowana co tydzień w Waszyngtonie pod koniec 2019 roku. Właśnie z powodu tych protestów Fonda i kilkoro jej sławnych przyjaciół trafili do aresztu. – Kiedy powiedziała nam, co planuje, od razu zgłosiliśmy się na ochotnika – mówi Waterston, również jeden z zatrzymanych. – Jane bez wahania wchodzi w ogień. Pragnie zmieni-
niać świat.

Pandemia nie wystarczy, by pokrzyżować Fondzie plany. Jej pierwszy protest w sprawie klimatu zorganizowany online, okazał się tak popularny, że strona internetowa nie wytrzymała liczby odwiedzin. – Mamy ćwierć miliona obserwujących! Wyobrażasz sobie? Zupełnie się czegoś takiego nie spodziewałam. Jestem teraz strasznie zajęta, potrafię spędzić cały dzień na Zoomie, uczestnicząc w zebraniach. Marzę o powrocie do pracy, bo będzie to oznaczało więcej czasu wolnego – mówi Fonda, mając na myśli zdjęcia do nowych odcinków *Grace i Frankie*, które miały ruszyć jesienią [ale ze względu na pandemię zostały przesunięte na wiosnę 2021 roku – przyp. red.].

W książce opisuje swoje rozterki i obawy związane z kryzysem klimatycznym. Mnie jednak najbardziej podobają się momenty, w których śmieje się sama z siebie. Na przykład opowiadając, jak w areszcie, dla zabicia czasu, bierze się do robienia przysiadów przy ścianie. („Skoro człowiek ma wolną chwilę, należy ją wykorzystać”). – Tak, zawsze jest mnóstwo rzeczy, z których można się śmiać. Gdybym nie miała dystansu do siebie, pewnie ciągle bym płakała – mówi.

W styczniu 2018 roku wrzuciła na Instagrama selfie: stoi nieco rozmemłana w kuchni, w eleganckiej sukience z poprzedniego wieczora. „To ja następnego ranka. Nie uda-

ło mi się rozpiąć sukienki, więc musiałam w niej spać... Nigdy nie chciałam mieć męża – aż do teraz” – napisała.

– Ha, ha, widziałas to zdjęcie? – śmieje się.

Nie tylko widziałam – w zeszłym roku rozmawiałam o nim z Dolly Parton, która zagrała z Fondą w komedii *Od dziewiątej do piątej*. Parton też widziała zdjęcie, zastrzegła jednak, że sama nie pokazałaby się fanom w takim stanie. – To absolutnie urocze, ale zupełnie nie dla mnie – oznajmiła.

– Ha! Ani trochę mnie do nie dziwi! – odpowiada Fonda. – Kiedyś przez dziesięć dni towarzyszyłam Dolly w trasie koncertowej i ani razu nie widziałam jej bez pełnego ryzsztunku!

Podczas wywiadu z Parton wróciłam też do momentu, kiedy wraz z Fondą i Lily Tomlin odtworzyły swój aktorski tercet z *Od dziewiątej do piątej* na okoliczność wręczenia jednej z nagród Emmy podczas ceremonii w 2017 roku.

Bardzo wcześnie się nauczyła, że jeśli ukryje cierpienie, inni pochwalą ją za bycie silną. Nie płakała nawet po śmierci matki. W szkole z internatem zaczęły się problemy z bulimią. Fonda pokonała ją dopiero po czterdziestce.

„W 1980 roku [czyli w filmie *Od dziewiątej do piątej*] zbuntowałyśmy się przeciwko seksistowskiemu, egoistycznemu, kłamliwemu ciemniakowi i hipokrycie, który próbował nas kontrolować” – zaczęła Fonda. „Dziś, w 2017 roku, też buntujemy się przeciwko seksistowskiemu, egoistycznemu, kłamliwemu ciemniakowi i hipokrycie, który próbuje nas kontrolować” – dokończyła Tomlin, czyniąc oczywistą aluzję do Donalda Trumpa. Publiczność zareagowała oklaskami, ale Parton miała strach w oczach, bez wątpienia obawiając się reakcji swych republikańskich fanów z Południa.

– Nie chcę, żeby wszyscy myśleli, że w stu procentach podzielam poglądy Lily i Jane – tłumaczyła mi później. – Osobiście nie lubię wypowiadać się w telewizji o polityce.

Spytałam Fondę, czy ona i Tomlin uzgodniły swój dowcip z Parton.

– Och tak, wszystko zaplanowałyśmy. [Parton – przyp. H.F.] po prostu spotkała się później z nieprzyjemnym odzewem. Chyba się tego nie spodziewała – mówi Fonda bez troski, tym samym raz jeszcze nieumyślnie pakując koleżankę w kłopoty.

—
ILEKROĆ FONDA opowiada o swoim życiu, zaczyna od ojca. Henry Fonda, weteran drugiej wojny światowej, uchodzi za amerykańskiego bohatera. Nikt oprócz niego nie mógłby zagrać zarówno Toma Joada w *Gronach gniewu*, jak i dociekliwego przysięgłego numer osiem w *Dwunastu gniewnych ludziach*. We wspomnieniach Fonda pisała, że gdy transmitowano posiedzenia niesławnej Komisji Izby Reprezentantów do spraw Działalności Antyamerykańskiej (House Un-American Activities Committee – HUAC), jej ojciec „kopnął z wściekłości telewizor”. Mimo to nie przyłączył się do innych gwiazd, które wyruszyły do Waszyngtonu, by protestować przeciwko pracom komisji i wesprzeć przesładowanych przez nią scenarzystów i reżyserów, oskarżanych o sympatie komunistyczne, czyli tak zwaną Dziesiątkę z Hollywood. Czy Jane Fonda nie uważa, że to dziwne, biorąc pod uwagę, jak bardzo ona sama angażuje się politycznie?

– Och, nie. Tata w takiej roli czułby się niekomfortowo. Wolał ograniczyć się do głosowania na demokratów, którzy obiecywali, że zakończą wojnę. To pewnie kwestia pokoleniowa – mówi Fonda, najwyraźniej starając się chronić ojca. (Nie mam serca jej wytknąć, że niektórzy z rówieśników Henry’ego – choćby Humphrey Bogart czy John Huston – publicznie potępili HUAC).

Jane wielbiła ojca, choć przez wiele lat czuła, że żyje w jego cieniu, i to pomimo faktu, że w dzieciństwie rzadko go widywała. Dla Henry’ego od Jane, jej młodszego brata Petera i ich matki Frances często ważniejsza okazywała się praca – a z czasem również inne kobiety. Kiedy Jane miała dwanaście lat, jej matka popełniła samobójstwo. Henry wysłał dzieci do szkoły z internatem. Do końca życia ani razu nie rozmawiał z córką o Frances.

Fonda przez wiele lat starała się sprawić, by ojciec zrozumiał ją i spojrział na świat z jej perspektywy, jednak nie odniosła szczególnych sukcesów. Kością niezgody były zwłaszcza